

ISSN 0137-480X
381004

cena: 16 zł (5% VAT)

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU CHRZEŚCIJAŃSKIEMU

7 / 2013 (479)

w | drodze



SZUKAJ NAS:

amazonkindle

Available on
App Store



CIEKAWOŚĆ ŚWIATA

Paulina Wilk
Piotr Pustelnik
Maciej Wasielewski

RELIGIA JEST TYLKO PRETEKSTEM

O konfliktach we Francji
– Olga Stańska

WOŁYŃ – 70. ROCZNICA POGROMU

rozmowa
z Adamem Danielem Rotfeldem

STO DNI PAPIEŻA FRANCISZKA

Wacław Oszejca SJ



FILM DVD
NA WAKACJE



ISSN 0137-480X
381004

cena: 16 zł (5% VAT)

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU CHRZEŚCIJAŃSKIEMU

7 / 2013 (479)

w | drodze



SZUKAJ NAS:

amazonkindle

Available on
App Store



CIEKAWOŚĆ ŚWIATA

Paulina Wilk
Piotr Pustelnik
Maciej Wasielewski

RELIGIA JEST TYLKO PRETEKSTEM

O konfliktach we Francji
– Olga Stańska

WOŁYŃ – 70. ROCZNICA POGROMU

rozmowa
z Adamem Danielem Rotfeldem

STO DNI PAPIEŻA FRANCISZKA

Wacław Oszejca SJ



FILM DVD
NA WAKACJE



Drodzy Czytelnicy,

wystarczy kilka ciepłych dni, wystarczy zapach lasu nagrzanego słońcem, mokrej ziemi po deszczu, a już czujemy smak wakacji.

Bo coś takiego w nas jest, że nagle chcemy się spakować i wyruszyć. Nie tylko po to, żeby odpocząć. Może bardziej, żeby zaistnieć inaczej niż zwykle – w innym miejscu, z innymi ludźmi, z dala od siebie samych – tych codziennych, przewidywalnych, powtarzalnych. Żeby doświadczyć siebie nieznanego.

„Uwielbiam ten moment, kiedy wszystko przede mną i kiedy tyle może się zdarzyć...” – pisze o swojej drodze do Composteli Roman Bielecki OP.

A jeśli to za mało? Wtedy trzeba wyruszyć dalej – w światy zupełnie nam odległe, z tą świadomością, że „dom i tożsamość, opuszczone choćby na chwilę zmieniają się. Tak jak zmienia się sam podróżny. Powrót nigdy nie jest powtórzeniem sceny z punktu wyjścia”

– dzieli się refleksją Paulina Wilk.

„Moje podróżowanie to nic innego jak szukanie ludzi, bliskości, zrozumienia” – pisze z kolei Maciej Wasielewski. I o to chyba właśnie chodzi. O drugiego człowieka, który czasem daleki i tak bardzo obcy jest przecież moim bliźnim. Bratem. Z którym nie zawsze jest mi po drodze. Który czasami staje się wrogiem. Tak jak 70 lat temu podczas pogromu na Wołyniu. Ci, którzy mieszkali razem, mówili sobie każdego dnia „dzień dobry”, nagle podnieśli na siebie pięść. Nie da się o tym zapomnieć. Ale to nie o pamięć chodzi, tylko o przebaczenie. Tyle że, jak mówi dominikanin o. Paweł Krupa, „Przebaczyć mogę tylko ja – nikt tego za mnie nie zrobi”. Warto o tym pomyśleć w ten wakacyjny czas.

A do walizki czy plecaka nie zapomnijcie Państwo spakować miesięcznika i filmu, który znajdziecie w tym numerze. Życzę dobrej lektury, dobrego oglądania i dobrych wakacji. •

Katarzyna Kolska

W tekście siostry prof. Barbary Chyrowicz, zamieszczonym w czerwcowym numerze „W drodze” na s. 79 pojawił się błąd. Chodzi oczywiście o encyklikę Jana Pawła II *Evangelium vitae* a nie *Humanae vitae*. Za pomyłkę przepraszamy.



W numerze:

FILM NA WAKACJE

- 9 **MARTIN SHEEN IDZIE PO MUSZLĘ**
Droga życia Emilia Esteveza – Roman Bielecki OP

STO DNI PAPIEŻA FRANCISZKA

- 17 **O BOGA CHODZI**
władza jest służbą – Waclaw Oszejca SJ

CIEKAWOŚĆ ŚWIATA

- 30 **KIM JESTEM, GDY MNIE NIE MA**
o konieczności powrotu – Paulina Wilk
- 39 **CHCIAŁBYM DOTRZEĆ DO CELU**
moja filozofia podróży – Maciej Wasielewski
- 49 **WIDZIANE Z GÓRY**
nie mam duszy wyczynowca – rozmowa z Piotrem Pustelnikiem
- 61 **OPOWIADAM HISTORIĘ O SOBIE**
kim jestem w podróży? – Agata Mleczko
- 67 **INNI, OBCY, BLIŹNI?**
moi sąsiedzi emigranci – rozmowa z Olgą Stanisławską

WOŁYŃ – 70. ROCZNICA POGROMU

- 81 **BRAT PRZECIWKO BRATU**
droga do pojednania – Marek Blaza SJ
- 91 **CZAS POGARDY**
przeszłość to otwarta rana – rozmowa z Adamem Danielem Rotfeldem
- 102 **PRZEBACZYĆ MOGĘ TYLKO JA**
między krzywdą a miłosierdziem – rozmowa z Pawłem Krupą OP

ORIENTACJE

- 114 **TU NAZYWASZ SIĘ GURTHA**
Viramundo Pierre'a-Yves'a Borgeauda – Kalina Cyz
- 119 **WIARY SIĘ NIE WSTYDZĘ...**
Unapologetic. Why Christianity can still make surprising Emotional Sense Francisa Spufforda – Joanna Petry Mroczkowska
- 128 **ŻYCIE JEST NOWELĄ**
Niech się panu darzy Antoniego Libery – Magdalena Wojtaś

SZUKAJĄCYM DROGI

- 132 **POKARM, KTÓRYM JEST ZMARTWYCHWSTAŁY CHRYSZTUS**
– Jacek Salij OP

DOMINIKANIE NA NIEDZIELE

- 137 **UMIEJĘTNOŚĆ PRZYJMOWANIA** – Krzysztof Pałys OP
138 **CO ROBIĆ, ABY OSIĄGNAĆ ŻYCIE WIECZNE?** – Dominik Jurczak OP
139 **BÓG PRAGNIE NIEWIELE** – Michał Adamski OP
140 **CHLEB, RYBA I JAJKO** – Wojciech Dudzik OP

FELIETONY

- 26 **CELEBROWANIE SZTYGARA** – ks. Grzegorz Strzelczyk
46 **KARDYNAŁ STANISŁAW** – Jan Góra OP
78 **KAMPANIE BEZ PODTEKSTÓW** – Marek Magierowski
112 **O ŁUCJI I JEJ BABCI** – Tessa Capponi-Borawska

Zdjęcie na okładce: Lee Frost / Corbis

w|drodze • MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU CHRZEŚCIJAŃSKIEMU

Redakcja: Roman Bielecki OP (red. naczk.), Katarzyna Kolska (z-ca red. naczk.), Dominik Jarczewski OP (sekr. red.),
Wojciech Dudzik OP, Paweł Kozacki OP, Anna Sosnowska (współpraca)

Oprac. graficzne: Łukasz Sulimowski

Druk: Zakład Poligraficzny Antoni Frąckowiak, ul. Unii Lubelskiej 3, 61-249 Poznań • **Nakład:** 8000 egz.

Kolportaż i reklama: Kornelia Winiszewska, tel. 61 850 47 27, kwiniuszewska@wdrodze.pl

Wydawca: Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów W drodze

Adres redakcji: ul. Kościuszki 99, 60-920 Poznań, tel. 61 850 47 22, faks 61 850 17 82,
miesiecznik@wdrodze.pl, www.miesiecznik.wdrodze.pl

Cum permissione auctoritatis ecclesiasticae.

Redakcja nie odsyła materiałów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo adiustowania i skracania tekstów przyjętych do druku.



OD LEWEJ: MARTIN SHEEN (TOM), YORICK VAN WAGENINGEN (JOOST),
DEBORAH KARA UNGER (SARAH), JAMES NESBITT (JACK)
FOT. MONOLITH FILMS

FILM NA WAKACJE



Droga życia

REŻ. EMILIO ESTEVEZ

WYSTĘPUJĄ: MARTIN SHEEN, DEBORAH KARA UNGER,

TCHÉKY KARYO, JAMES NESBITT



MARTIN SHEEN IDZIE PO MUSZLĘ



Droga życia to film o miłości, potrzebie posiadania oddanych przyjaciół i umiejętności dostrzegania w każdym człowieku zalet ukrytych pod niespecjalną powierzchownością. Banał? Może, ale głęboko za takim światem tęsknimy.

Roman Bielecki OP

Pamiętam lekcję pielgrzymowania, której niegdyś w małym włoskim miasteczku udzieliła mi właścicielka pewnego hotelu. Było późno, a ja nie miałem gdzie spać. Zaznaczona na mapach plebania okazała się opuszczonym kościołem, w którym zaledwie raz na dwa tygodnie zjawiał się ksiądz, by odprawić mszę. Nieco zdesperowany udałem się do jedyne go hotelu, prosząc o zgrzebną pielgrzymią podłogę i miejsce do mycia. Dostałem nieskazitelnie czysty pokój z białymi hotelowymi ręcznikami, marmurową łazienką z olbrzymią wanną i zapewnienie, że dla pielgrzymów noclegi są w tym domu za darmo. Tu krew wzburzyła się we mnie i broniąc etosu prawdziwego pielgrzyma,

który, jak wiadomo, w czasie drogi nie skala się czystym ręcznikiem i wygodnym łóżkiem, zacząłem głośno oponować i przekonywać, że brudny i oblepiony kilkudniowym potem mało pasuję do tak eleganckich wnętrz. I wtedy zostałem skarcony. Właścicielka ze spokojem i znawstwem zacytowała fragment Listu do Filipian świętego Pawła: „Umiem cierpieć będę i umiem obfitować”, po czym wbiła we mnie wzrok i zapytała, jaki ze mnie pielgrzym, skoro nie potrafię przyjąć tego, co inni dają z serca. Trafna uwaga zapiekła i lekko ścięła z nóg. Od tej pory wiem, że w pielgrzymowaniu wszystko jest możliwe, jednego dnia karimata na betonie, w towarzystwie „bad bugs”, a drugiego ciepła woda i przestronna łazienka.

Santiago, czyli tam i z powrotem

Wiele takich paradoksów znajdziemy w filmie, który w formie wakacyjnego prezentu dla Czytelników dołączamy do tego numeru miesięcznika. *Droga życia* w reżyserii Emilia Esteveza opiera się na klasycznym motywie wędrówki do miejsca świętego. W filmie jest nim hiszpańskie Santiago de Compostela, a oryginalny tytuł filmu *The way* lepiej oddaje istotę tego opowiadania. Oto cztery przypadkowe osoby z różnych krańców świata spotykają się na „drodze” czyli słynnym *camino* do grobu świętego Jakuba apostoła, na północy Hiszpanii. To właśnie tam, każdego roku wędrują z całego świata setki tysięcy pielgrzymów, którzy mierząc się ze swoją słabością, dają się porwać słynnej maksymie – najważniejsze nie jest to, żeby pokonać drogę, ale żeby droga pokonała ciebie. To znaczy, że nie tyle ważne jest miejsce, do którego idziemy, ale raczej powolne i niespieszne zbliżanie się do niego – trud samej drogi i rezygnacja z wygod. To w zderzeniu z przygodami, przykrymi niespodziankami, które niesie codzienność, i zmęczeniem – coraz większym z każdym następnym kilometrem – odsłania się pielgrzymowi kolejny fragment jego życia: kim jest, czego doświadczył, jak myśli o sobie, jak postrzega świat i Boga.

Co ciekawe, mimo że mowa o pielgrzymce do grobu świętego, statystyki publikowane co roku przez biuro pielgrzymów w Composteli

pokazują, że tylko część z docierających na miejsce deklaruje jako motyw wyruszenia w drogę „powody religijne”. Bywa, że kierują się względami turystycznymi, krajoznawczymi czy zwyczajnie – towarzyskimi. Dość powiedzieć, że dla wielu fanów muzyki Edith Piaf jej grób na Père-Lachaise w Paryżu jest równie ważnym miejscem pielgrzymkowym, jak Ziemia Święta dla chrześcijan. Dlatego nie powinno nas dziwić, że podobnie jest z bohaterami filmu. Blondwłosa kanadyjka Sarah idzie po to, żeby rzucić palenie. Korpulentny Holender Joost chce stracić zbędne kilogramy, neurotyczny Irlandczyk Jack liczy na to, że odzyska wenę pisarską. A Tom robi to dla uczczenia pamięci syna, którego utracił w dramatycznych okolicznościach. W finale okaże się jednak, że każdy z bohaterów odkrył prawdziwy motyw, zaskakująco inny od początkowych wyobrażeń. A wszystko to na tle hiszpańskich krajobrazów Galicji i Kastylii, gdzie późne lato przechodzi w jesień.

Człowiek z szafą

By nie być gołosłownym i spróbować określić, co jest najważniejsze w doświadczeniu każdej pielgrzymki, bez wahania powiedziałbym jedno: Chodzi o prawo pielgrzyma sformułowane przez jednego z najsłynniejszych pątników do Composteli – świętego Franciszka z Asyżu. W swoim przesłaniu do braci podkreślał, by w misji ewangelizacyjnej kierowali się dewizą braku i ubóstwa. To one miały im wystarczyć za narzędzia do głoszenia Dobrej Nowiny i stać się ich stylem życia. I choć przypomina to opis życia zakonnego, świetnie sprawdza się w drodze, o czym sam się przekonałem.

Kiedy pierwszy raz wybrałem się do Santiago, miałem plecak pełen „duchowych przyborów”. W końcu tak podpowiadała logika i romantyczne wyobrażenia o wędrowce po świętego Graala. Oprócz brewiarza zabrałem też Pismo Święte, notatnik w tekturowej okładce, by dodawał smaku moim obowiązkowym, codziennym zapiskom. A na dokładkę pobożną lekturę słusznych rozmiarów, która miała być wytchnieniem w chwilach odpoczynku od marszu. Po dwóch dniach dźwigania mojego dobytku, przeklinania siebie i własnej głupoty, skorzystałem

z okazji i odesłałem wszystko na adres poczty w Composteli z adnotacją „do odbioru za dwa tygodnie”. Do książki nawet nie zaglądnąłem, z Pisma korzystałem zwykle w kaplicach przy pielgrzymich schroniskach, a notatki... cóż, te zrobiłem po powrocie do Polski. Bolesnie doświadczony otarciami szelek ciężkiego plecaka i zdartymi stopami rozumiałem, o co chodziło Franciszkowi w sformułowaniu „prawa”. Na pielgrzymkę nie można brać ze sobą szafy. Choćby były w niej same najpotrzebniejsze rzeczy, bez których na co dzień nie da się funkcjonować. Podczas pielgrzymowania trzeba przyjąć inne zasady funkcjonowania i, o zgrozo, odkryć, że tak niewiele nam trzeba. I tak niewiele przynosi poczucie spełnienia i satysfakcję.

Od tego czasu nieco inaczej patrzę na zestaw rzeczy niezbędnych, o którym można przeczytać we wszystkich przewodnikach o *camino*, zamknięty w matematycznej proporcji – jeden do dziesięciu. To znaczy, że ekwipunek pielgrzyma ma ważyć nie więcej niż dziesięć procent wagi ciała. Sam mam listę rzeczy niezbędnych. I traktuję ją jak prywatny dekalog.

Ale prawo pielgrzyma to też anonimowość. Bo wchodząc na drogę, decydujemy się na odosobnienie – nie tyle od ludzi, co od świata, który znamy. Jest to świat nam bliski, ale najczęściej nie ma w nim zbyt wielu okazji i czasu na duchowe poszukiwania. Taki charakter ma droga do Santiago, którą odbywamy w małej grupie lub w samotności. Każdy krok oddala nas od tego, czym wypełniona była nasza codzienność. Na drugi plan schodzi dom, rodzina, praca i obowiązki. Z upływem czasu stajemy się „jednym z”, a nasze kierownicze, dyrektorskie, księzowskie czy inne tytuły przestają mieć znaczenie. W drodze wszyscy jesteśmy sobie równi i wszyscy zdani na siebie w przeżywaniu trudności.

Skąd pielgrzymi wracali

O tym jest ten film. Zdaję sobie sprawę, że ekranowi puryści, mal-kontenci i ci wszyscy, którzy pielgrzymowali do Composteli, mogą narzekać na szczegóły i kręcić nosem, mając w pamięci własne doświadczenia. Że fabuła rozwija się zbyt szybko, że zbyt łatwo mija bohaterom

droga. Brakuje potu, wycieńczenia i chropowatości schroniskowych łóżek. Albo na to, że miejsca pobytu nie są ułożone chronologicznie, obrazki z Astorgi mieszają się z tymi z Burgos, a sama Hiszpania przypomina czasem kiczowaty oleodruk. W końcu, że za mało w tym filmie lokalnej galicyjskiej muzyki, a zamiast tego Coldplay, Alanis Morissette czy James Taylor jako muzyczne ilustracje. Może i tak, ale śmiem twierdzić, że nie o to chodzi w tym filmie.

Niezwykłą siłą *Drogi życia* jest trafnie oddany specyficzny klimat panujący na *camino*. I śmiech mieszający się ze wzruszeniem. Sprawy poważne z zabawnymi. Tonację serio wspiera tonacja żartobliwa. Dystrans niweczony jest przez zaangażowanie, a sentymentalizm wspomaga ironię. Bohaterowie, bez wyjątku, ryzykują, cierpią, ponoszą klęski, ale zawsze podnoszą się po nich z głębokim przeświadczeniem, że warto było podjąć wysiłek, ponieważ w ostatecznym rozrachunku zostanie on jakoś nagrodzony. Bo, jak usłyszymy w filmie, życia się nie wybiera, życie się przeżywa.

Martin Sheen, Deborah Unger, a przede wszystkim Yorick van Wageningen w roli Holendra Joosta dają swoim bohaterom tyle naturalności, że bardzo szybko zaczynamy ich lubić i sami chcielibyśmy mieć ich za towarzyszy podróży.

Droga życia to film o prawdziwej miłości, potrzebie posiadania odanych przyjaciół i umiejętności dostrzegania w każdym człowieku zalet ukrytych pod niespecjalną powierzchownością. A bohaterowie, choć pełni wad, słabości i śmieszności, w godzinie próby nieraz pokażą swoje lepsze ja. Banał? Może, ale głęboko za takim światem tęsknimy.

Kiedy w końcowej scenie wielkie kadzidło – nieodłączny atrybut pielgrzymiej mszy w Santiago – rozpoczyna swój taniec pod sklepieniem katedry, a my patrzymy w spełnione twarze bohaterów, niejednen z nas z pewnością zastanowi się, czy nie warto skosztować *camino* samemu, by doświadczyć podobnych emocji i z podobnym wzruszeniem odebrać słynną kompostelkę – poświadczenie odbycia pielgrzymki – *Hoc sacratissimum Templum pietatis causa devote visitasse*. I z równą nieporadnością tłumaczyć się pracownikowi biura ze swych

pątnicznych motywów. Bo czy ktoś uwierzy, że tym motywem była chęć zrzucenia zbędnych kilogramów?

Czwarta nad ranem

Piszę to wszystko jako dwukrotny pielgrzym do Santiago, zastanawiając się, w którym miejscu położyłbym swój osobisty akcent *camino*. I chyba wiem, bo mój ulubiony moment pojawia się tak wcześnie, że wielu go nie zauważa. To noc przed pierwszym dniem marszu, w otoczeniu tych, którzy maszerują najczęściej od wielu dni, dla których jestem nowicjuszem, w ciuchach jeszcze pachnących płynem do płukania. Nim zasnę, patrzę w twarze moich jutrzejszych towarzyszy drogi. Widzę, jak pakują swoje plecaki, przygotowują rzeczy tak, by zgrabnie zebrać je rano i jak najszybciej wyruszyć. Słyszę, jak żartują z tych, którzy rozciągają obolałe mięśnie i w skupieniu wcierają przeciwbólowe maści. Patrzę na tych, którzy zapisują przemyślenia na skrawkach wyrwanego z zeszytu papieru. Widzę w końcu innych nowych, podobnych do mnie, którzy jutro rozpoczną swoją przygodę. Młodzi i starzy, z różnych zakątków świata. Rejestruję z uwagą, kto z kim przywita się naprawdę, znajdzie chwilę, by zamienić parę zdań, o tym, skąd pochodzi i gdzie zamierza jutro dotrzeć. Myślę o tym, bo sam już nie mogę wytrzymać i chętnie bym skrócił noc i ruszył jak najszybciej, choć zmęczenie podróżą samolotem do miejsca startu skutecznie studzi mój zapał. To taki moment, w którym tak naprawdę jeszcze nic się nie wydarzyło. Patrzę na twarze dookoła i próbuję w nich wyczytać ukryte emocje. Cieszą się? Zmagają? Skoczyła im adrenalina? Może się modlą? Szukają chwili dla siebie? Szybują myślami daleko stąd, do domu?

Siedząc między nimi, sam próbuję rozpisać swoją drogę. Wyobrażam sobie jutrzejszy etap. Czy będzie padać, a może upaść dociśnię do asfaltu? Czy dobrze się spakowałem i która z zabranych rzeczy okaże się nieprzydatna. Myślę też o dobrej kawie w małym barze, gdzieś na zapadłej prowincji, gdzie koty chodzą po trotuarze, a mieszkańcy, siedząc przed domami, oglądają codzienny spektakl. Wszystko to

na kilka godzin przed startem. Wraca do mnie scena finału *Butch Cassidy i Sundance Kid*, kiedy Redford i Newman patrzą na siebie wymownie, nabierają głęboko powietrza przed wielkim skokiem, odbijają się od ściany i wybiegają w oślepiające słońce, a kadr zastyga nieruchomo. Uwielbiam ten moment, kiedy wszystko przede mną i kiedy tyle może się zdarzyć... i już, nagle koniec snu i nocy, dzwoni cicho dzwonek w komórce. Już wychodzą pierwsi pielgrzymi. Plecaki na ramionach, małe latarki w dłoni lub na głowie. Już nie śpią. Wychodzą w ciszę poranka. *Buen camino.* •

Roman Bielecki – ur. 1977, dominikanin, absolwent prawa KUL oraz teologii PAT, redaktor naczelny miesięcznika „W drodze”.
Mieszka w Poznaniu.

Santiago de Compostela to droga dla każdego

Informacje o pielgrzymowaniu:
www.mypielgrzymi.com
www.caminodesantiago.pl



CHCIAŁBYM DOTRZEĆ DO CELU



To, co piszę, rodzi się z milczenia. Całymi dniami milczę, żeby napisać dwa zdania i te zdania znaczą dla mnie więcej niż sto, które później wypowiem.

Maciej Wasielewski

W podróżach szukam wspólnot. Wzięło się to najpewniej z dzieciństwa. Miałem pięć, może sześć lat. Co jakiś czas, w niedzielę, w domu rodziców gromadzili się ich znajomi – ciocie i wujkowie – tak do nich mówiłem. Są ludzie, którzy samą swoją obecnością wnoszą nerwowość, a inni – spokój. Ciocie i wujkowie wnosili do naszego domu spokój.

Na te spotkania przychodził też jezuita. Mama z tatą rozkładali w dużym pokoju stół i ten jezuita odprawiał przy tym stole mszę, a ja mu podawałem patenę. Z tamtego okresu mam tylko dobre wspomnienia.

Po dwóch latach msze się skończyły. Ciocie i wujkowie chyba nie mieli już czasu, a tata (choć jest historykiem sztuki i pracował wówczas w muzeum) zaczął handlować w weekendy pontonami na Skrze.

No więc w podróżach szukam atmosfery tamtych spotkań, bo służyły nie tylko mnie, ale także mamie i tacie.

Ryba

Najważniejsze podróże odbyłem w pojedynkę, ewentualnie we dwoje, kiedy każde z nas chodziło osobnymi ścieżkami albo milczało, żeby jakimś zbędnym słowem nie zabić tego, co wydawało nam się wtedy najważniejsze – czegoś, co trudno nazwać, a co było najpewniej potrzebą dostrojenia się do chwili i miejsca.

To sprzeczność, bo z drugiej strony jest we mnie głód współuczestniczenia i współodczuwania. Po to przecież pakuję plecak. Tego współuczestniczenia doświadczyłem w przetwórni ryb w Vestmannie na Wyspach Owczych. Pracowałem przy taśmie, patroszyłem czarniaki. Zbliżała się północ, kończyła się zmiana. Na pięć minut przed syreną do mojego boksu wpadło dziesięć cuchnących ryb. Pamiętam, jak chwyciłem nerwowo jednego czarniaka. Już miałem na niego przelać złość (jak przelać złość na martwą rybę?), ale wtedy podeszło do mnie troje młodych Farelów i nigeryjski piłkarz, który dorabiał w przetwórni do pensji futbolisty – wynagrodzenie piłkarzy na Wyspach Owczych pozostawia wiele do życzenia. Nieważne. Ważne, że każdy zabrał bez słowa po dwa czarniaki.

– Przecież mogliście już pójść do domu. Nic by się nie stało, gdybyście zostawili mnie z tym skrobaniem – powiedziałem później dwudziestoletniej Kathrinie, która wypatroszyła za mnie dwie ryby. Spojrzała na mnie jak na tępaka, a potem rzuciła krótko:

– Pracą staramy się dzielić równo.

„Niewidzialna Ręka”

Ten głód współuczestniczenia potęgowały we mnie opowieści Macieja Zimińskiego, mojego nauczyciela. Zimiński wymyślił „Niewidzialną Rękę” – akcję społeczną, która przez blisko trzydzieści lat rezonowała na całą Polskę. Dzieci rąbały drewno, naprawiały płoty i dźwigały wodę ze studni. Zawsze w ukryciu. Pomagały ludziom starszym i schorowanym. Potem ci starsi i schorowani opisywali te dobre uczynki w listach – wyremontowane ławki w parku, naprawione wózki inwalidzkie, drewniany mostek na rzeczce postawiony na wysokości

domu pewnej staruszki. Kobieta mogła wreszcie przejść na drugą stronę, do sklepu. Wcześniej była zdana na innych. Do najbliższego mostu był kilometr, a ona miała już słabe nogi.

Oto jeden z tych listów, który schowałem do szuflady: „Piszę ze łzami w oczach. Ileż to dobra ma w sercu nieznana mi osoba, a zarazem tak bliska. Jestem starszą, samotną kobietą, mieszkam na przedmieściu, mam niedużą działkę. Niedawno wróciłam ze szpitala, byłam tam przeszło miesiąc. Martwiłam się, że nie będę mogła nic robić na tej działce. Gdy w niedzielę sąsiadka pomogła mi wyjść, poszłyśmy zobaczyć działkę, a tu takie zaskoczenie. Znalazłam bilet nr 59878 i zrozumiałam wszystko. Nie mam słów, jak mogłabym wyrazić swoją wdzięczność nieznannej mi osobie, która nie tylko skopała działkę, ale też porobiła grządki, a przy każdej jest tabliczka, co jest zasiane. Zofia B. z Bydgoszczy”.

Maciej Zimiński jest współodpowiedzialny za blisko dziewięć milionów takich uczynków. Ostatnio powtarza, że ludzie zapomnieli o przykazaniu miłości.

Będzie pięć lat, jak odbyłem podróż tropem Niewidzialnej Ręki. Drewnianego mostku już nie ma, tych starszych kobiet też już nie ma.

Bank

Ale to chyba nieprawda, że ludzie zapomnieli o przykazaniu miłości. Przynajmniej nie wszyscy. Wiem to dzięki podróży na Wyspy Owczce. Tam od trzydziestu lat żyje Agnieszka, nauczycielka z okolic Włocławka. W Tórshavn, a więc w stolicy Wysp Owczych, założyła rodzinę. Najwspanialszą rodzinę, jaką w życiu widziałem:

– Cześć mama, możemy zamówić pizzę? – spytał przy mnie David, syn Agnieszki. Miał wtedy jedenaście lat.

– Nie, dziś zjemy to, co ugotowałam – odpowiedziała spokojnym głosem.

– Ale ja chcę pizzę!

– Pizza jest droga, a my powinniśmy oszczędzać. Wytłumaczyłam ci, czym jest kryzys, prawda? A co będzie, jak mamę zwolnią z pracy?

– Oj, mama. *Fuck off!* – zachnął się David.

– A gdzie się tak angielskiego nauczyłeś? – Agnieszka nie dała się sprowokować.

– W szkole. Wszyscy tak mówią do swoich matek.

– Davidku, a wiesz, że mama bardzo cię kocha?

– Wiem.

– A wiesz, że mamę bardzo boli, jak ktoś, kogo kocha, mówi do niej w tak ohydny sposób?

– Przepraszam, mamo.

Agnieszka uczy w szkole podstawowej w Tórshavn. Wieczorami wypełnia tabelki, podania, te wszystkie dokumenty Polaków, którzy znaleźli albo chcą znaleźć pracę w stoczni na Wyspach Owczych. Jej dom to po trosze hotel, biuro podatkowe i gabinet terapeutyczny, z tą tylko różnicą, że Agnieszka i jej mąż nie pobierają opłat. Ludzie mówią, że ona jest jak matka, która pilnuje, byś założył czapkę. Którejś soboty minęliśmy się z Agnieszką w drzwiach:

– Dokąd idziesz? – spytałem.

– Do banku.

– Przecież w soboty wszystkie banki są nieczynne.

– Idę sprzątać do banku. W dni powszednie uczę w szkole, a w soboty sprzątam.

W podróży chyba łatwiej jest spotkać się z ludzką życzliwością, zauważyła kiedyś Agnieszka. Chyba tak. Ja też, kiedy jestem w drodze, staję się bardziej uczynny. W podróży chcę być inny niż na co dzień.

Gorgonzola

Czasem zdarza mi się spotkać zupełnie obcych ludzi, którzy stają się bliscy, zanim się jeszcze odezwą. Ot, taki Walter, Niemiec. Poznaliśmy się na campingu w Orewa w Nowej Zelandii. Obok mojego namiotu zaparkował kamper. Wyszedł z niego facet, na oko po pięćdziesiątce. Rozstawił stół turystyczny, położył na nim gruby zeszyt i zaczął w nim pisać. Nie mogłem nie zapytać, o czym pisze.

To było po dwudziestej drugiej, w każdym razie wszystkie sklepy w okolicy były już zamknięte, a mnie ssało w żołądku. Walter zaprosił

mnie do swojego stolika i poczęstował pastą z serem gorgonzola. Przegadaliśmy tak pół nocy. Opowiadał o matce, która miała alergię na światło i nie odsłaniała zasłon w mieszkaniu, co ostatecznie doprowadziło ją do samobójstwa. Napomknął też o trudnym dorastaniu w cieniu ojca, który kochał, ale miłością despoty. Walter również próbował odebrać sobie życie, dwa razy. Potem jednak poznał Koreankę z Północy, zakochali się w sobie i mu przeszło.

– Na marginesie, wiesz, że w północnokoreańskim słowniku pod hasłem „matka” znajdziesz blisko dwieście słów? – wtrącił Walter. – „Kobieta, która urodziła. Kobieta, która dokłada troskliwych starań, by ich dzieci chowały się zdrowo. Wyrażający szacunek termin na określenie kogoś w wieku zbliżonym do jego własnej matki. Metafora wyrażająca bycie kochającym”. I tak dalej.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, tym bardziej że akurat napchałem makaronu do gardła. Walter mógł więc dalej mówić:

– A pod hasłem „ojciec” znajdziesz tylko jedno zdanie: „Mąż czyjejś rodzonej matki”.

Rozmowa z nim była tak fascynująca, że nie mieliśmy czasu albo potrzeby się sobie przedstawić. Zrobiliśmy to dopiero nazajutrz:

– Nazywam się Kohl. Tak, Helmut jest moim ojcem.

Telefon

Szkoda, że tamten dzień nie ułożył nam się najlepiej. Walter podwoził mnie do Auckland, w trasie zrobiliśmy postój. I właśnie wtedy zginął mu telefon.

– Walter, czuję się niezręcznie – odezwałem się po chwili krępującego milczenia. – Wiem, że obce są ci stereotypy i te wszystkie dowcipy o Polakach, ale muszę powiedzieć to na głos: To nie ja ukradłem ci tę komórkę.

Spojrzał na mnie z pobłażliwym uśmiechem i odparł, ale tak, że trudno mi było mu wierzyć:

– W życiu bym nie pomyślał.

Może uznał, że skoro nie ma dowodów, to nie ma winnych, a może nie chciał psuć nastroju poprzedniego dnia. Koniec końców nie zapamiętamy

naszych telefonów (bo i po co?), a ja spotkania z Walterem Kohlem nie zapomnę.

Portfel

Tak jak tego Hindusa, choć nawet nie znam jego imienia. Miał trzydzieści parę lat i brudną od smaru podkoszulkę. Był skwar, a on pokazał mi na migi, że biegł za mną dwie przecznice. To było poza ścisłym centrum Kalkuty, gdzie jedną ulicę od drugiej dzieli jakieś pięćdziesiąt metrów. Ten mężczyzna biegł za mną, żeby oddać mi portfel, który zgubiłem. Było w nim pięć, może dziesięć tysięcy rupii. Nie pamiętam. Pamiętam za to dobrze, że sto rupii to jego dniówka. I że na oczach tego mężczyzny zająrzałem do portfela, żeby sprawdzić, czy nic nie zginęło. Wstydę się tego potwornie.

Tak to między innymi w Indiach zobaczyłem swoją śmieszność. Pierwszego dnia nawet nie wyjąłem aparatu, nie dawałem sobie moralnego przyzwolenia, żeby fotografować coś, co Europejczycy nazywają ubóstwem. Drugiego dnia opory zniknęły, a trzeciego zapłaciłem Salimowi dwieście albo trzysta rupii, żeby oprowadził mnie po najpodszybszych rynsztokach Kalkuty.

Salim to był mądry gość, miał czworo dzieci na utrzymaniu. Przez godzinę prowadził mnie nocą po ciemnych ulicach – ludzie z trądem zasypiali na chodnikach, dziewczynka, na oko trzyletnia, żuła prezerwatywę. Kilka dni później pojąłem, że zabrał mnie na bezpieczny spacer.

Latryna

Mam tylko trzydzieści jeden lat i trzymam się myśli, że wiem niewiele, że co najwyżej widzę. I to w dodatku po czasie.

Zresztą, z widzeniem też miewam problemy. Pamiętam, że stałem pod Górą Cooka. Powietrze jak po kroplach do nosa, gapiłem się w chmury. Obok mnie Anthony, kumpel z Francji. Powiedział: „Patrz na drzwi!”, bo prawda jest taka, że staliśmy nie tylko pod Górą Cooka,

ale też obok latryny. Gdyby nie on, najpewniej bym nie zauważył – na wewnętrznej stronie drzwi ktoś utrwalił wyznaczenie flamastrem: „Karolina i Patryk ze Szczecina (Poland). Tu się pokochali”.

Anthony miał szósty zmysł. Wyłapywał detale i niektóre z nich prowadziły go do większych historii. Ja mam po prostu fart – znajduję tematy jak jagody. Trudności zaczynają się potem, przed komputerem. To, co piszę, rodzi się z milczenia. Całymi dniami milczę, żeby napisać dwa zdania i te zdania znaczą dla mnie więcej niż sto, które później wypowiem. Pisanie to nieustanna samotność. Wcześniej nastrajałem się na tę samotność, decydowałem się na nią. Od jakiegoś czasu nie potrafię z niej wyjść. Ludzie to czasem myślą z pychą.

Z jednej strony fart, z drugiej niefart – wciąż nie znalazłem wspólnoty. Ale w życiu i w książkach porusza mnie retoryka nowego dnia, drugiej szansy, nadziei. W podróży każdy nowy dzień jest nadzieją na odnalezienie wspólnoty. Moje podróżowanie to nic innego jak szukanie ludzi, bliskości, zrozumienia. I w tym sensie chciałem zaniechać podróży. Chciałem dotrzeć do celu. •

Maciej Wasielewski – ur. 1982, autor książki *Jutro przyplynie królowa*, współautor *81:1. Opowieści z Wysp Owczych*. Obecnie pracuje nad historią „Niewidzialnej Ręki”. Mieszka w Warszawie.